

Andrzej Lam

## SZKIC DO PORTRETU ZYGMUNTA ŁAWRYNOWICZA

Niespełna czterdziestoletnia, przedwcześnie przerwana droga poetycka Zygmunta Ławrynowicza zaczęła się liryczno-malarskimi obrazkami *Epitafium jesieni* i częściowo jeszcze *Syna marnotrawnego*, w połowie była egzystencjalna skarga *Anglobabilonu*, u kresu swobodna fraza opowiadająca *Zatrutych jagód*, mozaika i sekwencja momentów bycia we dwoje w pejzażu Itaki, Atokos i północnej Walii – jakby ponowiony, w olśnieniach i w smutku niespełnienia, poemat *W Szwajcarii* Słowackiego. Najwcześniejsze wiersze miały za scenerię Hiszpanię i Londyn, ale zawsze z inkrustacją wrażliwości, którą ukształtowała w dzieciństwie przyroda litewska. Dodajmy – ta miłoszowska, znad Niewiaży. Od jej wspomnienia, jakby motta całości, poezja Ławrynowicza się zaczynała:

... A wyzwolić  
Mnie może tylko magia wielka,  
w piwonii drżąca łez kropelka,  
miłość daleka, zapoznana,  
znad łąk idący zapach siana  
i pieśni wiejskich kawalerów,  
plusk ryby w rzece, szum ajeru,  
skrzyp koła, kiedy grzmi kolasa  
przez ptaków rozhowory w lasach,  
kaczek przyloty i odloty,  
stukot na moście końskich kopyt,  
żuraw studzienny, psa szczekanie,  
powoje pnące się na ścianie ...  
tam tam dopiero mnie wyzwoli  
klekot bocianów na topoli ...

(*Kraju mój* – *Sm*, s. 6)

Kiedy na Costa Brava, w zatytułowanym tak podwójnym oktostychu, „czarny urwis srebrne rybki kładzie / w słoiki po wiśniowej marmoladzie”<sup>1</sup>, swojskość tego obrazka jest jakby znad litewskiego jeziora. Słowa modlitwy: „niech moje słowa zaszumią / niech uwysmuklą się w sosnę” (*Trzecia niedziela postu* – *Sm*, s. 21) – przywołują drzewo o innym wyglądzie niż śródziemnomorska pinia. Jednoznacznie brzmi wyrzut: „zamiast z siatką na swojskie motyle / za białym wielorybem rzucili się w pościg” (*Pasażerowie ss „Grafomanii”*, – *Sm*, s. 29). Nie mogło zabraknąć wspomnienia dziewczyn, które kochały „pośród traw wysokich / otwierając się / jak kwiaty w słońcu / w brzuku pszczoł / i polnych koników” (*Do*

---

<sup>1</sup> Z. Ławrynowicz, *Costa Brava*, [w:] tegoż, *Syna marnotrawny i inne wiersze (1954–1960)*, Oficyna Poetów i Malarzy Londyn 1968, s. 11. Dalej wiersze z tomu cytowane w tekście skrótem *Sm* i podaniem numeru strony.

*miłej bużki spotkanej w betonowym ogrodzie – Sm, s. 69).* Jeszcze w *Trujących jagodach* wyrwało się poecie westchnienie:

Jak daleko stąd do bałtyckich plaż  
litewskiej Połagi! Do ostrą trawą  
porosłych diun i sosen wyniosłych  
na górze świętej kapłanki Biruty<sup>2</sup>

Inaczej niż Miłosz, Ławrynowicz nie doczekał chwili, kiedy mógłby odwiedzić strony rodzinne – paru lat zabrakło. Pozostały, jak dla innych pisarzy stamtąd, pobyty na Warmii i Mazurach, w Dobrym Mieście (nazwanym w gwarze rodzinnej, jak pisał, „Łajdakowem”), w Olsztynie i okolicy.

Taki magazyn pamięci bywa pomocny w najtrudniejszych chwilach, ale budować na nim poezję trudno, o czym przekonał się niejeden poeta, któremu nie udało się uruchomić nawet największą czułością opromienionych wspomnień bez kategorii im przeciwstawnych, a co najmniej modelujących je w świetle doświadczenia późniejszego. Żołnierz 2. Korpusu Polskiego, po zakończeniu wojny, nie mając do czego wracać, na emigracji zadbał o swoje wykształcenie, pozyskał samodzielne źródło utrzymania, a silną potrzebę uprawiania poezji i utwierdzania polskości w londyńskim środowisku realizował we współtworzeniu, począwszy od 1953 roku, młodoliterackiego ruchu, który w krótkim czasie wyszedł poza granice lokalne. Mimo że główne ambicje realizował w Londynie, Ławrynowicz ogłaszał od 1956 roku swoje utwory również w kraju, podobnie jak inni poeci „Merkurysza Polskiego” i „Kontynentów”. Był skądinąd korzystny ten podwójny status, bo świadomość, że można się – jeżeli nie wszędzie, to chociaż gdziekolwiek – wypowiadać bez politycznych ograniczeń, jest dla pisarza bezcenna.

Skoro o tej obecności mówimy, nie sposób nie wspomnieć, że instytucje krajowe nie umiały talentu Ławrynowicza zagospodarować. Półtora roku przed śmiercią pisał do mnie:

„Nie wchodząc zbyt głęboko w sprawy wydawnicze w PRL-u, nie mogę nie zauważyć, że to nie ja wzdramam się przed wydaniem moich rzeczy w Polsce. Byłem odrzucony w PIW-ie, wymanewrowany w Czytelniku, odrzucony w WL... Olsztyńskie „Pojezierze” wydało tomiczek *Błędne ogniki* w zamian za mój przekład litewskiego poematu *Metai* Donelajtisa. Cykl produkcyjny trwał blisko sześć lat! To może dobre dla młodzików. Ale dla takich panów w starszym wieku, jak niżej podpisany, propozycja wydania czegoś tam za lat pięć czy sześć jest drwiną. Zresztą nikt nie proponował. A chodzić po redakcjach z berecikami w rękę już

<sup>2</sup> Z. Ławrynowicz, *Na Atokos wyspie bezludnej*, [w:] tegoż *Trujące jagody, czyli Helga*, Wyd. „Kwiat lotosu”, Londyn 1986, s. 13.

nie potrafię. Stąd konieczność zadbania o druk własnych rzeczy własnym kosztem. Nie mam innego wyjścia”. List towarzyszył poematowi *Trujące jagody czyli Helga*, ze świetnymi rysunkami Barbary Siedleckiej, na papierze żeberkowym i w taniej typograficznej technice maszynopisu. Wywodzący się z tej samej londyńskiej grupy Jerzy S. Sito został prezesem „Czytelnika” zaledwie trzy lata później.

Są w *Synu marnotrawnym* malarskie pejzaże o niezwykłej, chciałoby się powiedzieć: czechowiczowskiej wyrazistości: przenikanie się znaczeń, w *Caldas de Malavella* widzenie obiektu przyrodniczego, alei platanowej, jako sklepień romańskiego kościoła, wprowadzenie ruchu w obraz statyczny (jak już zalecał Lessing w *Laokoonie*):

pod kopułą jaskółki  
jak paciorki różańca  
heban nizany  
na zieleń gałązek

w dole ziemia pobożna  
słońce  
jak hostia świtu  
biały wiatr welonów  
czarny pacierz habitów

[...]

wzlatujące gałęzie  
pozaplataty się w łuki  
zielona strzała  
drga jeszcze  
wbita w niebieską tarczę  
(*Sm*, s. 18–19)

W zwrotkach o nierównej sile poetyckiej, co u młodego poety nie dziwi, spotyka się co raz metafory i wyrażenia gnomiczne, które objawiają wyobraźnię kreatywną. Wyjmijmy ich parę ze strumienia mowy, jak nietuzinkowe kamyki z rzeczno-żwiru: „w brunatnej sieci tych gałęzi / rzuca się srebrny karp księżycy” (*Liliową porą* – *Sm*, s. 9); „świerszcze życie śpiewają na źdźbłach spalonej trawy” (*Południe w San Telm* – *Sm*, s. 12); „nie znają przelotne ptaki / głębi morza” [*Cierpliwość drzew* – *Sm*, s. 27]; „sztyletem słowa piszemy / nasz wyrok w sercach bliźnich” (*Huis Clos* – *Sm*, s. 39); „słysząc stukot niewielki / tak bije serce kwiatów” (*Noc w ogrodzie dwunastu dębów* – *Sm*, s. 55); „rozwijam / płatki zmroku / odkrywam / szerszenie gwiazd” (*Okup* – *Sm*, s. 58). Zdarza się, że cały utwór dzięki zharmonizowanemu współdziałaniu szeregowo połączonych elementów opisu i refleksji staje się wyrazem głębinowego przeżycia chwili, kiedy zastyga życie i utajone siły czekają ponownych

narodzin. Sięga wtedy po wzory najwyższe – *Nad wszystkimi szczytami cisza i Nad wodą wielką i czystą*:

usnęły żagle  
 barki na falach  
 przyklekły w niemej pokorze  
 jak morze w kamiennym cieniu  
 śpi mój niepokój gładki  
                   jak morze  
 płonie powietrze  
 góry ku wodzie  
 leją krzyk skamieniały  
 jak skały w kaktusach i piniach  
 opada życie moje strome  
                   jak skały

(*Południe w San Telm – Sm, s. 12*)

Dalszym krokiem w kierunku zwięzłości był wydany w Olsztynie tomik „polskich miniaturek poetyckich na modłę japońskich haiku” (ten, który drukowano sześć lat), rozszerzony po paru latach do zbioru *Świetliki i ulegalki*. A jednak nie ten rodzaj poetyki, tak dobrze rokujący, zyskał przewagę. Nowy ton odezwał się w wierszu *Emigranci*, najpierw jeszcze łagodny: „jesteśmy jak kamienne anioły / na cmentarzu / oplakujące / czyjeś zatarte imię” (*Sm, s. 30*), potem coraz ostrzejszy, z potępieniem jałowości toczonych sporów i narastającym sprzeciwem, a w ślad za nim – językiem inwektywy i sprzeciwu: „spętani wstęgami / zaspanych kolorów / sylwestrowy kabotyn i carmen z przedmieścia” (*Nowy rok – Sm, s. 46*); „o zabierzcie mnie stąd / te gwiazdy parzą mi stopy / te słowa parzą mi usta” (*Nowy rok – Sm, s. 47*); „lepiej jest nie przemawiać w imieniu / do nieszczęśliwych baranów” (*Przemawiają – Sm, s. 48*).

Przyczynkiem do ówczesnego stanu ducha pisarza jest list z 20 lipca 1972, odzwierciedlający sądy, odczucia i rozterki znane również z jego poezji: „Jedno jest pewne: nie można zbyt długo siedzieć na płocie, bo lata mijają, a presja codzienności zaczyna zostawiać coraz głębsze ślady. Dochodzi do tego, że bezwiednie, podczas bezsennych rozmyślań nocnych, zaczynam sam z sobą dyskutować po angielsku. To jest niepokojący objaw. Kontakt z polszczyzną jest minimalny i marginesowy: książki (czasem), gazety i rzadkie listy. Polonia tutejsza nawet nie zdaje sobie sprawy, jak dalece ulega wynarodowieniu. Zajęta domem, samochodem, telewizorem, żyje w kręgu parafialnych spraw i takie ma horyzonty. Jej język uległ zachwaszczeniu, spłycał, a swoim zasięgiem obejmuje powszedni zespół trivialitates tylko. Poważna konwersacja jest niemożliwa i zresztą nikt nie ma na to czasu. Zdarzają się wyjątki, ale to są bardzo rzadkie enklawy zieleni wśród lotnych

piasków tej jałowej ziemi. Kontakt z nimi rzadki i deprymujący. Mieszkając w wielkiej stolicy, żyją jakby nadal przebywali w kulturalnym Kulparkowie.

Innymi słowy: albo polszczyzna, albo zwrot zasadniczy w kierunku anglosaskiej mowy, z wszystkimi konsekwencjami takiego kroku. Jeżeli polszczyzna – no to trzeba tę roślinę przenieść w ojczyste strony. Tam tylko może na serio sprawdzić się jej potencjał. Hodowanie jej na obcym ugorze staje się coraz trudniejsze, jeśli nie wręcz niemożliwe. Nie mówię tu o pismach emigracyjnych, które prowadzą swoje rozhowy z niesłabnącym uporem, ale to już są mizerne ploty żab w rzesą zarosłym stawie. Proponuję lekturę odnośnych stron *Dziennika* (Gombrowicz), gdzie poddano wnikliwej analizie i zamknięto w morderczym podsumowaniu całe to pseudo-kulturalne towarzyszo”.

Szła w parze z tą tonacją dojrzewająca samoświadomość: „na próżno / przesypujesz wspomnienia / w kamiennych dłoniach starte” (*Café Harlequin* – Sm, s. 49) – wielomówne milczenie, osamotnienie, brak rezonansu, niewystarczalność środków wyrazu, jakby w nawiązaniu do bolesnego w bezsile wykrzyknienia „język kłamie głosowi”. Wspomnienie Litwy, wraz z motywem pielgrzymy i bezdomności, psalmicznym wołaniem *de profundis*, hiobową skargą na niezawinione wykorzenienie z ojczyzny obok brzmiącego jak kłątwa oskarżenia, odezwało się w latach osiemdziesiątych przejmującym głosem zbioru *Anglobabilon* – rozrachunkiem ze sobą, otoczeniem i ludzkimi demonami historii, gdzie już nie kunszt metafory ani nastrój chwili się liczy, ale dosadna retoryka w służbie gniewu, sarkazmu i żalu. Nie przytłumiła ona jednak liryzmu, który szczególnie mocno zabrzmiał w pożegnalnym wierszu *Odchodząc*, sekwencji wydanych sobie ostatnich poleceń, a wśród nich: „trzeba sprawdzić odchodząc / czy zgaszony ogień / ogień gniewu zawiści / i ogień odwetu”<sup>3</sup>. Ten nowy język i zarazem ostatnie przesłanie Ławrynowicza wymaga dokładniejszego rozpoznania krytycznego, niż na pozwala ten szkic.

W latach osiemdziesiątych Ławrynowicz przetłumaczył i wydał kazania księdza Popiełuszki, *The price of love*. Przyznawał się do wpływu poezji Herberta, zwłaszcza *Pana Cogito* z jego skłonnością do przewrotnej autoanalizy i sceptycznego osądu burz świata – ale rezygnując z komfortu, jaki daje ironia. Był prawdziwy i szczery do bólu, modlitewnie. Jak wszyscy poeci nieistniejących już wtedy „Kontynentów”, także w trudnych dla Polski czasach daleki zarówno od języka patriotycznego frazesu i heroicznego gestu, jak od szyfrów i pułapek zanachronizowanej poezji lingwistycznej, sięgał do pokładów własnej tożsamości, do

<sup>3</sup> Z. Ławrynowicz, *Anglobabilon*. Wiersze 1965–1985, Wyd. „Kwiat lotosu”, Londyn 1986, s. 112–113.

odrodzenia przez pokorę w obliczu klęski, jakby ponawiając dramat, tragedię i nadzieję obrzędu *Dziadów*:

nawet aniołowie  
stają na baczność  
kiedy myśl wciela się w słowo  
gotowe i otwarte  
na przyjęcie treści  
odmieniających lingwistyczne mrowiska  
w śpiewające ogrody<sup>4</sup>

Andrzej Lam

### Summary

#### **A sketch for the portrait of Zygmunt Ławrynowicz**

The article includes the history of life and work of Zygmunt Ławrynowicz, an émigré writer, one of the pillars of the Kontynenty group active in London in the late 1950s and the early 1960s. The main subject areas of his poetry have been characterised: nostalgic returns to the place of his childhood and youth in Lithuania, a critical settlement with contemporary civilisation and an increasing over time feeling of émigré alienation, of failed life and of creative unfulfillment. Some of the features of his poetics have been briefly characterised – connections with romanticism, with the Lithuanian school in Polish poetry, with the imagism of Czechowicz and the classicism of Herbert.

---

<sup>4</sup> Z. Ławrynowicz, *Dla ZH*, [w:] *Anglobabylon*, s. 102.